

INARZEB CYCIE

Rok IV

BAD MUNDER, 19. czerwca 1948 r.

Nr 13 (96)



ŚWIĘTO MORZA

A. BOGUSŁAWSKI

Polskie Morze

Odkąd na brzegi twe szły karawany
kupować bursztyn, ludziom drogocenny,
odtąd nam byłeś znany i kochany
i naszym byłeś, Bałtyku niezmienny!

Na twoich brzegach walczył lud przed Lechem,
aby odpierać wikingów komiegi,
Błogosławionys ze świętym Wojciechem,
który niósł wiarę poprzez pruskie legi.

Uznałeś panów na Mszczujach i Bielugach,
dziedzicznych twoich pomorskich książętach.
Ku tobie wody kwapiły się w strugach,
porozwlekane w kołowiślnych skrętach.

Zebrałeś w sobie krew męczeńską Gdańska,
co ją krzyżackie stoczyły topory,
aż cię zwolniła znowu moc polańska
z ciężkiego jarzma, od śmiertelnej zmory.



archiwum

Wróciłeś do nas, Bałtyku na wieki,
wciąż nasycany Wisły srebrnocieczem,
i po twych nurtach mknęła w świat daleki
bandera nasza — ramię z krzywym mieczem.

O, morze, morze — fale bursztynowe!
Jaśniało, morze, jak bursztyny złote,
gdy brygantyny trzy Władysławowe
w twych toniach szwedzką grążyły niecotę.

I byłaś, falo, jaśnią powleczone,
bo mróz przy brzegu kry srebrzyste zbierał,
kiedy Gdańsk stary, za Napoleona,
zwycięsko szturmy alianckie odpierał.

I byłeś jeszcze, Bałtyku, srebrzysty,
wracając do nas znów z uciemienienia
i zamykając w twej głębi czystej
Hallerowego wiernie błysk pierścienia.

A potem — potem zrobiłeś się krwawy,
bo sępy nał cię wzbiły się skrzydlate
i umierali dla najświętszej sprawy
bohaterowie krwawi Westerplatte.

Aleś nam otwarł przychylne odmęty,
umiałeś prądy twe ściszać i zwęzać,
gdy szlakiem twoim szły nasze okręty,
by bić się dalej i aby zwyciężać.

Bądź nam miłościw, Bałtyku prastary,
słowiańskie morze z Gdańska po cieśninie!
Na twoich wyspach składane ofiary
Światowidowi, światłu twej dziedziny.

Dziś nam rozbłyśnij przed obliczem Bożem
i wiatry twoje niech nam dopomogą,
kiedy już wrogów odwiecznych przemożem
i wracać będziem Bałtykową drogą.

Uśmiechnij nam się rozelśnieniem cichem
i niech się chwiejba złowroga nie czyni,
abyśmy mogli lekkim rozkołychem
wplynać na wody miłowane Gdyni.

Abyśmy mogli w ukochanym porcie
znów włączyć kraj nasz do zamorskiej ścieży,
jak pulsem, który drga ciągle w aorcie
i życiodajnym tętnem z serca bieży.

Zaś wrogom naszym pozamącaj fale
i zatop lęk ich w przedśmiertelkym krzyku,
co się rozbije, jako wrak na skale...
Z nami bądź zawsze i zostań, Bałtyku!



archiwum

Ogniska skautowe

Baden-Powell, pisząc „Skauting dla chłopców”, zawarł cały materiał w poszczególnych gawędach wieczornych; to było oryginalne, ale zawsze uważałem, że to nie była jedynie kwestia wynalezienia ładnej nazwy rozdziałów, a w istocie drogowskaz po wszystkie czasy dla ludzi interesujących się skautingiem. B.-P. tak bardzo wierzył, że nigdy nie zastosujemy szkolnych metod nauczania, ale najwięcej instrukcji damy skautom poprzez gawędy w specjalnej atmosferze ogniska drużyny na obozie. Podsuwał dalej, że nasze ogniska muszą się odbywać wieczorem, kiedy zbieramy się, aby omówić, co zrobiliśmy w ciągu dnia i poczynić plany na następny okres. Taka idealna atmosfera stwarza drużynowemu doskonałą sposobność do zaszczerpienia w duszach swoich chłopców czegoś, co stanowi wartość nieprzemijającą.

Dla mnie staje się coraz bardziej oczywiste, że my jako Ruch zaczęliśmy iść w złym kierunku. Z rozmów, jakie przeprowadzam z napotkanymi instruktorami skautowymi, bez względu na to, z jakiego pochodzili kraju, doszedłem do wniosku, że obecna metoda prowadzenia ognisk na obozach może być wyrażona dość cynicznie zdaniem: „za dużo ludzi robiących za dużo wrzasku”. Nie chciałbym ani na moment krytykować owych wielkich skupisk skautów i instruktorów, ale muszę napiętnować wszelkie sugestie, że te imprezy są ogniskami w pojęciu skautowym. Można to nazwać śpiewaniem piosenek, lub — bądźmy sprawiedliwi — koncertami i jako takie bywają czasem zupełnie dobre.

B.-P. wierzył, że ogniska staną się jedną z naszych głównych metod

kształcenia chłopców, a zastosowane w sposób właściwy dają drużynowemu najlepszą ku temu sposobność; ale, jak olbrzymią większość naszych poczynań skautowych, ognisko wymaga dobrego kierownictwa i musi być urozmaicone, aby osiągnąć zamierzony skutek. Możliwe, że niektórzy instruktorzy walczą na ogniskach z nieśmiałością, ponieważ zdają sprawę z własnych defektów — nie potrafią śpiewać, nie potrafią opowiedzieć gawędy i boją się „wpadki”. Otóż niczego bardziej jak właśnie prowadzenia ognisk powinien się instruktor skautowy nauczyć. Nie potrzeba nam dyrygenta chóru, ani tym bardziej specja od wystawiania sztuk teatralnych. Potrzeba nam drużynowego, który by dążył do rozwoju charakteru u swoich chłopców. Jeśli umie on trochę śpiewać — to owszem, dobrze, to pomaga, ale nie jest to istotnie ważne. Prawdziwy drużynowy ma zawsze na celu korzyść, jaką chłopcy winni osiągnąć z ogniska, a nie robi widowiska dla samego widowiska. Wierzę, że śpiew będzie odpowiednio dobry, tzn. melodyjny, czysty, a nie jakieś pozbawione harmonii miauczenie — ani też zbyt dobry — chcę przez to powiedzieć, że prawdziwy sens ogniska — to jego spontaniczność; a unikać należy starannie wszelkich prób, wyglądzania, taktowania itp. Tak, śpiewać trzeba koniecznie, ale nie tylko śpiewać — ognisko skautowe musi odznaczać się różnorodnością o dobrze zachowanej proporcji

Okrzyki, i to przeważnie zorganizowane, powinny znaleźć sobie także miejsce na ognisku, tak samo gry — ale nie gry drużyny zwykłego typu, ale raczej tzw. „naciąganie”, gry na

ćwiczenie orientacji, pamięci itd.; można pokazywać sztuki i dawać skecze, z których większość, sądzę, byłaby stworzona przez uczestników i byłaby oparta na tematyce zdarzeń z życia drużyny, a nie przeznaczona tylko dla rozrywki publiczności i zdobycia jej oklasków, często nieszczerych. Ognisko drużyny jest pokazem wewnętrznym. Przynajmniej dotąd, dopóki nie zrozumiemy, czym jest ono naprawdę, nie powinniśmy zapraszać obcych.

Może być także w programie występ solowy. I znowu nie potrzebuje być on koniecznie artystyczny — właściwie powinniśmy w sposób subtelny pomijać utalentowanych chłopców, zwykle produkujących się nieprzerwanie podczas ogniska. Ognisko właśnie jest miejscem, gdzie stwarzamy warunki do wyrobienia się, zachęcając do brania udziału takich chłopców, którzy nigdy nie stali przed frontem swych kolegów i nie występowali nigdy przedtem. Jest prawdopodobne, że w domowej atmosferze ogniska można będzie nakłonić do wzięcia udziału w skeczu i później do spróbowania czegoś samemu.

Powinniśmy dodawać odwagi chłopcom, ponieważ jednym z zadań dru-

Elementy ogniska

Do programu ogniska włączymy dyskusję na temat, co zostało zrobione i co mamy zamiar zrobić — narada drużyny — gdzie każdy może przedstawić swój punkt widzenia. Nie argumenty i dowodzenie, nie komisje, ale rada drużyny — bardzo ważny element wychowania skautowego.

Przejdźmy do gawędy. Bardzo łatwo jest drużynowemu powiedzieć, że nie umie opowiadać gawędy. Możliwe, że tak jest, ale w takim razie niechaj się

zynowego jest prowadzić ich na wyższy szczebel wiary we własne siły — a ognisko bardzo temu sprzyja.

Jak wszelkie inne poczynania skautowe, tak i ognisko dla osiągnięcia pełnej swej wartości wymaga dyscypliny. W istocie często zastanawiam się nad tym, że w czasie ogniska mamy sposobność do ćwiczeń najwyższego gatunku karność. Przez karność rozumiem dobry porządek i powagę, a nie krępowanie przyrodzonej żywości i bujności temperamentu. Porządne zaczęcie ogniska daje gwarancję porządnego trwania do końca. Drużyna musi być zebrana w komplecie — drużynowy zapala ogień — wszyscy podrywają się na baczność, gdyż nadchodzi instruktor i w kilku prostych słowach otwiera uroczystość. Następuje pierwsza pieśń. Musi być zachowana dyscyplina przy śpiewaniu kanonów, dyscyplina gotowości do natychmiastowego wystawienia jakiegoś „kawału” zastępu, jeśli o niego proszą, dyscyplina wyraźnego mówienia i znajomości swego udziału podjętego razem z zastępem, dyscyplina w kierowaniu śpiewem, okrzykami itd. To wszystko jest pierwszorzędnym ćwiczeniem.

tego nauczy. Urodzonych „gawędziarzy” jest bardzo mało. Przeważna ich większość musiała się tego nauczyć w oparciu o własne doświadczenie i praktykę. Tego można się nauczyć i to w najwyższym stopniu warte jest zdobycia. Proszę nie sądzić, że gawęda musi zawsze zawierać sens moralny. Zresztą nie trzeba tu brać za podstawę mojego orzeczenia, ale wystarczy przeczytać „Skauting dla chłopców”. Niektóre gawędy B.-P. mia-

ły naukę moralną, inne jej nie miały, a przecież wszystkie były dobre. Nie mam zamiaru dyskutować na temat, jak należy opowiadać gawędy; ale chciałbym powiedzieć jedno: nikt nigdy nie powiedział gawędy z dobrym rezultatem, kto sam nie znajdował w tym przyjemności i korzyści.

Dobrze będzie, jeśli chociaż uświadomimy sobie, że istnieją różne rodzaje gawęd i każdy z nich można zastosować z dobrym skutkiem. Podzieliłbym gawędy na 4 grupy, acz nie jest to podział arbitralny, a tylko dla pewnego udogodnienia:

- 1) gawędy o przygodach (awanturnicze); w których coś się dzieje, akcja jest osięd opowiadania i wreszcie kończy się triumfem Dobra;
- 2) gawędy pouczające, jak np. z zakresu znajomości lasu, lub gawęda, z której wynosi się pożytek od strony techniki skautingu;
- 3) gawędy wesole, opowiadane w celu rozweselenia i wzbudzenia śmiechu, a to ma większą wartość wychowawczą, niż nieraz najbardziej poważne napomnienia instruktora;
- 4) gawędy „podniosłe”. Jest obowiązkem instruktora przy pewnych okazjach acz niezbyt często starać się o podniesienie myśli i dążeń swoich skautów na wyższy poziom.

Atmosfera

Pozostaje nam jeszcze coś trochę nieuchwytnego, coś, co nie da się niemal wyodrębnić w całej kwestii ogniska. Widziałem, jak starannie przygotowany program „położono” całkowicie, ponieważ nie był szarmonizowany z atmosferą danej imprezy. Słyszałem, że ulubione piosenki zazwy-

Jest jeszcze piąta grupa gawęd „milczących”. Wróć jeszcze do nich, ale przedtem pragnę zaznaczyć, że olbrzymia większość instruktorów mówi zbyt dużo, zbyt długo i zbyt często.

Tak więc ognisko dobiega końca; płyną pieśni, brzmią okrzyki, mijają gry, gawędy i dyskusje z drużynowym. Jeszcze raz pragnę powtórzyć to, co przez cały czas wiązało się z zagadnieniem — że ognisko urządza się dla skautów jako jednostek i musi być ono odpowiednio zrównoważoną mieszaniną. Chciałbym usprawiedliwić się co do owej „mieszanki”. Jesteśmy skłonni do przesady w rzeczach, które robimy dobrze i do ignorowania ogromnych wartości, jakie płyną z podjęcia wysiłków, aby osiągnąć sukcesy w tych elementach ogniska, które robimy źle, albo nie robiliśmy wcale. Gdyby tylko śpiewacy nauczyli się mówienia gawęd, spece od okrzyków — śpiewania piosenek, gdybyśmy wszyscy uczyli się wszystkiego, a przede wszystkim pamiętali o tym, żeby być takimi drużynowymi, którzy w ćwiczeniach i kształceniu charakteru stosują metody skautowe, a zapomnieliśmy, że jesteśmy na zawsze specjalistami pożłoconych własnych lilijek — wtedy rzeczywiście nasze ogniska staną się naprawdę skautowymi i, a chłopcy na nich lepszymi skautami.

czaj wypadają płasko i, bez wyrazu; albo ci, co „produkują się” na wesoło, spotykają się z zimnym przyjęciem, a wszystko dlatego, że nie dostosowali się do panującego nastroju, do atmosfery. Mądry kierownik będzie zawsze na to wrażliwy. Przystosuje w razie potrzeby umiejętnie program i ma w re-

zerwie okolicznościowe numery stosowne na wszelkie okazje. Nie twierdzą, że to jest łatwe, ale zapewniam was, że możliwe. Wraz ze wzrastającym doświadczeniem rozwija się wyzucie atmosfery. W istocie tylko poprzez własne tego rodzaju przeżycia wyrabia się w nas odczucie nastroju w ogóle. Drużynowy musi dodawać odwagi tym, którzy kryją się w cieniu, a powściągnąć tych, którzy zbyt nio wysuwają się na czoło i tak stopniowo osiągnie się cenne poczucie związku z zespołem, z drużyną, w której zrodzi się prawdziwe braterstwo. Będzie to prawdziwa drużyna, a przypadkowe luźne skupisko skautów. Jeśli ognisko jest prowadzone w sposób właściwy, tempo powoli opada, nasilenie wrzawy się zmniejsza; wolimy śpiewać spokojniejsze, nastrojowe pieśni i stajemy się bardziej podatni do słuchania.

Prawie niepostrzeżenie ogarnia nas ten stan ducha, który ja uważam za niezwykle ważny w życiu skautowym; to są te krótkie chwile, kiedy dzień się kończy, kiedy jesteśmy trochę zmęczeni, ale w najwyższym stopniu szczęśliwi, kiedy osiągamy coś, uczymy się czegoś i dajemy coś z siebie wzamian. Teraz więc nadchodzi moment rzeczywistej ciszy; chwila taka może tylko nadejść w dostojnym spokoju dopalającego się ogniska... właśnie wtedy doświadczony drużynowy nie powie nic... To będzie czas na ową „kontemplacyjną“ gawędę. Skauci uświadomią sobie, że to jest czas milczenia i zastanowienia się w swoim sumieniu, czy wszystko zostało dobrze zrobione. Z całą szczerością mówię wam, że to jest moment stworzony na to, aby sam Pan Bóg powiedział swoją Boską gawędę... Czy kto zna myśli, które zaczną się kłębić w umyśle chłopca, jeśli wytworzymy podatny do tego nastrój? Nie utrzymuje, że znam, ale jako stary drużynowy mogę was zapewnić, że wieczorne ogniska w drużynie, a specjalnie te uciekające chwile, to są momenty, których moi dawni skauci ni-

gdy nie zapomną. To są przeżycia, które dają chłopcom bardzo dużo w ich wieku męskim. Gdziekolwiek się znajdują, zawsze chętnie powracają wspomnieniami do owych chwil, wypełnionych po brzegi szczęściem i prawością myśli. Pamiętają oni te wydarzenia i może ta pamięć pomaga im nieraz przetrwać ciężki moment w życiu. Tu występuje wartość skautingu, który pomaga człowiekowi jeszcze przez długie lata, chociaż osobisty wpływ drużynowego dawno przestał działać.

Tak. Te momenty są ważne, ale muszą one być zaplanowane i wypracowane. Wysiłek, uczucie, determinacja i pokora są tu bardziej potrzebne od innych zalet.

W końcu przechodzimy do modlitwy, życzymy krótko dobrej nocy i w milczeniu, albo przynajmniej cicho, rozchodzimy się do namiotów czy do domu.

Ognisko jest skończone, ale jego działanie trwa nadal. I to nie przez widowiska, sztuczne ognie — prawdziwe czy w przenośni; nie przez wspaniałe mowy, nie przez wielkie dramatyczne przedstawienia, czy koncerty, lub coś w tym rodzaju — ale w tym sensie, że ognisko spełniło funkcję wychowawczą w stosunku do drużyny skautowej, jak tego pragnął B.P. Nie starajmy się być za bardzo zręcznymi, zbyt błyskotliwymi, wielkimi znawcami psychiki, ugrzecznionymi. Mam wrażenie, że być dobrym drużynowym stanowi dla nas nieprzepartry urok. To nie jest rzeczywiście trudne, jeśli pamiętamy, że to wszystko zawarte jest w „Skautingu dla chłopców“ — książce, w której nie ma nic niejasnego i nieskomplikowanego a wszystko jest realne i proste.

Jamboree, March, 1948

by R. F. Thurmann (Camp Chief,
Gilwell Park).

Z ang. tłum. Z. D.

NAMIOT KULTURALNO-LITERACKI

ustawia Koliber.

PALCEM PO PŁÓTNIE

WĘZEL I WĘZELKI

Tak, zgodzicie się wszyscy ze mną, że umiejętność wiązania węzłów jest potrzebna w życiu człowieka. Nigdy nie wiadomo, kiedy i komu może się przydać płaski, albo kluczek, czy nawet więzienny, a czasem zdarza się, że i węzeł jeniecki „Głupiego Tomasza“. Życie się składa jednak w większej części z węzłów nie do zawiązywania ale właśnie z takich do rozwiązywania. Jak wiadomo wszystkim, pierwszym węzłem, rozwiązany w historii, był węzeł gordyjski, który rozwiązał Aleksander Wielki w ten sposób, że go po prostu... przeciął. Takie sprytnie wyjście uchodziło królowi, natomiast zwykły śmiertelnik może i węzła nie rozciąć i sam się jeszcze zdrowo skaleczyć. Widzicie, moi Drodzy, węzły wchodzą w zakres pionierki, a pionier to nie tylko taki, który stawia drewniane mosty na słonecznych rzekach i który robi skróty liny w mistrzowski sposób. Słowo „pionier“ oznacza prócz tego człowieka, który pierwszy wyrąbuje las pod pole uprawne, albo przełamuje się przez świat, ażeby innym zrobić miejsce. Każdy z nas, Przyjaciele, jest po trosze pionierem, tylko że jeden dużym, inny mniejszym, a co najgorsze, że dużo jest również i nie pionierów, ale... pionków. Na pewno spotykacie na swojej drodze takie ludzkie manekiny, które mają po to ręce,

ażeby im wisiały po bokach, a nogi po to, żeby wiedziały, z której strony mają przód. Ludzie ci bardzo chętnie suplają życie, macą wodę i spluwają w studnię. Można ich po tym poznać, że właśnie nawet węzłów robić nie potrafią, ale sami się plączą i plączą zamiary innych.

Może Wam się wydaje, mili Czytelnicy, że ja tylko tek przesadzam, że tak sobie tylko rzucam słówka na wiatr? Żebyście jednak tak nie sądzili, mam tu dla Was garść węzłków i węzłów większego kalibru, które wszędzie spotykacie, zawiązane mocno, a węzeł to taka paskudna rzecz, która się z czasem — zamiast obluźniać — jeszcze bardziej zaciska. Np. weźmy taką drobną na pozór sprawę jak obranie sobie zawodu i wyszkolenie fachowe. Ktoś tam przeczytał trzy książki, nauczył się czytać i pisać, raz był na meczu piłki nożnej i 10 razy w kinie i już mu się zdaje, że jest mądry, że sobie w życiu da radę! Jest przekonany o swojej wyższości, i, oczywiście, jak pojedzie do Ameryki czy Australii, czy przypuścimy do Argentyny, tam już na niego czekają z orkiestrą, z willą, w której stoi osiem fortepianów, i z rachunkiem czekowym w banku. Takie „trajli-bum“ cały świat uważa za swoje mieszkanie, ale zawodu nie ma. Przepraszam, omyłka — wróć! Ma zawód, a raczej inni się na nim ciągle zawodzą. Nie dość na tym, że żadnego fachu nie poznał, to jeszcze w dodatku posiada tylko swój własny język w gębie i to niezupeł-

nie. To jest bardzo poważny węzeł, jeden z tych grubszych, bo, tak mówiąc między nami z ręką na żołądku (na żołądku, bo kto nic nie umie, ten nie je), ilu to spośród nas posiada jakieś wykształcenie zawodowe? Jakby tak wziąć solidną stonogę, to by można takich obliczyć na jej palcach, a jeszcze by trochę zostało. Tu nie chodzi o to, żeby być inżynierem czy doktorem od razu, już nie mówiąc o generale i dyrektorze banku, ale, Kochani moi, trzeba coś umieć, co tu dużo gadać! Są tacy dziwni ludzie, którzy organizują rozmaite kursy zawodowe i powodzi im się... nie daj, Panie Boże! Siedzi taki pan w pokoju, gdzie są drzwi i okna i żarówka wisi też (choć nie zawsze) i czeka na uczniów, a uczniowie też czekają... aż im ktoś da kamienicę w New Yorku z widokiem na Hollywood! Geniusze piegowate! I powiedzcie sami, czy to nie jest węzeł? I nikt mi nie powie, że nie można go rozplątać! Tylko widzicie, trzeba się zastanowić, a żeby się zastanowić — to trzeba pomyśleć. Ale od myślenia głowa boli... No tak. I chodzą tumany po świecie, przyszli obywatele świeżego powietrza. Radzę Wam, zastanówcie się nad tym węzłem, a zobaczycie, że taki trudny nie jest, tylko trzeba do niego podejść sprytnie, rzeczowo. Najlepiej powiesić sobie nad łóżkiem taki napis, wiecie, slogan: „Kto nie ma zawodu — ten umiera z głodu”, a kto nie ma fachu — żyje w wiecznym strachu!”

To jedno.

A teraz drugie. Do you speak English? Na pewno „spik”: o'key! have you chewing-gum? albo też dla odmiany I am Polish. I to jest wszystko, co na ogół każdy z angielskiego pol-

zał. Trudno z takim zasobem słów wybierać się w podróż naokoło świata, chyba, że z wycieczką dla głuchoniemych. A kursy angielskiego też są, prawie w każdym ośrodku! A na tych kursach... owszem, uczą się mamusie i tatusie, bo synkowie i córeczki nie! Zawsze tak było na świecie, że jajko jest mądrzejsze od kury, tylko jajko jest również okrągłe i dlatego łatwo się może potłuc... I też by było warto slogan na ten temat ułożyć. Zwłaszcza przecież harcerze, którzy akcentują ciągle braterstwo narodów, którzy propagują idee Międzymorza i uważają, że „każdy skaut to mój brat”, powinni zaobserwować już dawno, że tam, gdzie się znajdują polscy harcerze w środowiskach międzynarodowych, od razu zaczynają z cudzoziemcami wieść ożywione rozmowy, przeważnie perfect... na migi. Jeżeli już ktoś we własnym interesie nie chce działać, ucząc się obcego języka, to niech przynajmniej nie kompromituje swoim nieucwtem swojej narodowości i tak pięknej organizacji, jaką jest Harcerstwo. Ten węzeł nie jest gordyjski, ale raczej, można by powiedzieć — angielski.

I jeszcze wróćmy do stosunków międzynarodowych, jak już o tym mówiliśmy. Nie wiadomo, jaki jest tego powód, i na pewno każdemu z nas trudno by było to wytłumaczyć, ale zawsze uważamy się za najmądrzejszych w środowisku międzynarodowym. Jesteśmy wprost genialni, chodzimy z podniesionymi głowami i wszystko, co nasze, to jest doskonałe i nienaruszalne, a to, co obce to już, oczywiście, nic niewarte. Ten szowinizm narodowy często nam samym wyrządza poważne krzywdy, ale jakoś doświadczenia te niewiele nas nauczyły. Ciągłe się sły-

szy na każdym kroku, że Ukraińców nie lubimy, bo to i to, a tamten jest Łotysz, więc itd... Nie twierdzą, żeby zatracać poczucie tego, co dobre i piękne u nas, ale również trzeba obiektywnie oceniać to wszystko dodatnie i wartościowe, co posiadają inne narody. O, to jest pokazywany węzeł w naszych stosunkach z innymi! Wszyscy o tym doskonale wiemy, ale nie bardzo lubimy się do tego głośno przyznawać. Tym więcej trzeba na ten temat jak najczęściej mówić. Taki węzełek, nie węzełek, ale supeł cały, można by nazwać węzłem międzynarodowym i tego nie trzeba rozplątywać, ani przecinać. Nie trzeba go tym więcej zaciskać, nie tracąc przy tym własnych ambicji.

Takiej plątaniny węzłów mógłbym Wam tutaj rozkręcić jeszcze kilkadzie-

siąt metrów, albo Druh Redaktor wreszcie powie mi: „Kolego kochany, to wszystko pięknie, ale mówcie krótko i węzłowato, o co chodził!” Węzłowato? — Dobrze, Druhu Redaktorze. Jeszcze jeden węzeł, ostatni. Takiego nawet nie ma w pionierce. To jest taki węzeł katowski. Wiecie, robi się wtedy, kiedy jakaś sytuacja tak się zaciska, że zaczyna dusić! Nie należy doprowadzić do tego, ażeby z małych supełków porobiły się takie wisielcze pętle i lepiej się zabrać do nich, dopóki są małe. Nie mówię, żeby od razu wszystko było takie łatwe do rozwiązania, ale z istnienia węzłów i pętelek musimy sobie wszyscy zdawać jasno sprawę, żeby z nami tak nie było, jak to w tym wierszu hr. Aleksandra Fredry, który mi się przypomniał, bo jest bardzo aktualny:

„Przebacz waćpan niezgrabność — mówił kat łotrowi —
Pierwszy raz dzisiaj wiem, jestem nowym katem”.
„Proszę się nie żenować — łotr grzecznie odpowie —
Pierwszy raz mnie wieszają, nie poznam się na tym!”

Sprawa może wyglądać podobnie, jeżeli się w porę nie zabierzemy do roboty. Po cóż jednak patrzeć tak pesymistycznie? Na pewno nikt nikomu nie będzie katem, a wszyscy się w porę poznamy, gdzie tkwi ta pętka, w którą nie należy wkładać nieopatrnie

palców. A więc: rozwiązujemy, gdzie trzeba, zacieśnijmy, gdzie należy, każdy z nas ma dziesięć palców. Przepraszam — ja narazie mam tylko jeden wskazujący, którym Wam te słowa piszę po płótnie.

Koliber.

Literatura

Powieść egipska

Każdy wie coś niecoś o starożytnej cywilizacji egipskiej. Nowoczesny Egipt natomiast istnieje w umysłach naszych głównie jako pojęcie polityczne. Literatura egipska wydaje się czymś poza

zasięgiem wyobraźni europejskiej. Tymczasem fakty świadczą, że jest ona osiągalna.

Od końca 13-go wieku świat arabski zaniedbał literackie środki wypowiedzi. Jedynym wyjątkiem, godnym zapamiętania, jest Ibn-Khaldun. Jeszcze do niedawna postępową literaturą egip-

ska ograniczała się do przekładów, głównie z francuskiego, a poza tym z włoskiego i angielskiego. Nowy nacjonalizm, zrodzony po rewolucji Arabi Pashy, dał początki nowej literaturze egipskiej. Punktem stycznym była działalność prasy arabskiej w Egipcie; zmodernizowane dziennikarstwo polityczne natchnęło literatów nie tylko poprzez treść publicystyki, ale i przez język, dostosowany do potrzeb czasu: język, który zarzucił pomost między klasycznym piśmiennictwem Islamu a potoczną mową arabską dnia obecnego. Na przekór purystom i fantantom lingwistyki powstał naturalny język, który w literaturze — rzecz jasna — czerpał początkowe wzory z Europy (np. w utworach Manfalouti'ego, założyciela tzw. Szkoły Romantycznej).

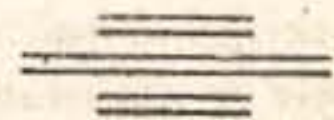
Ale prawdziwą sensację artystyczną wywołała dopiero w r. 1914 powieść egipska pt. „Zaniab“, której autorem był Hussein Heykal. Ta pierwsza próba literacka w kolokwialnym języku arabskim zachęciła młodych pisarzy do dalszych prac. Na przeszkodzie w rozpowszechnianiu literatury egipskiej stał i stoi nadal analfabetyzm (70 procent ludności). Uparta jednak działalność takich powieściopisarzy jak Taha Hussein, Tewfiqal Hakim i Abbas el Akkad przesunęła literaturę nadnilego kraju z mglistego kręgu arabskiego w wymierny i określony krąg egipski. Realizm odniósł zwycięstwo nad konwencjonalizmem. Egipcjanie piszą o sobie. Egipt pokazuje prawdziwe oblicze. („Przegląd Polski“ nr. 9(15). J. P.

Wydawnictwa

RITTER DER FREIHEIT, polaische Novellen von Boleslaw Prus und Adam Szymanski (Rycerz wolności, nowele B. Prusa i A. Szymańskiego). Übersetzt von E. Mazurek und A. Leopfe, Schweizer Volksbuchgemeinde, Luzern. — Str. 182.

Jest to zbiór nowel Prusa i Szymańskiego, obrazujących chronologicznie udział Polski w walkach wolnościowych. Otwiera fragment z „Lalki“, z „Pamiętnika starego subiekta“ epizod węgierski (r. 1848), później „Omyłka“ (1863) i Szymańskiego „Matka“ (1863) oraz fragment z „Dzieci“ (1905). Można mieć pewne zastrzeżenia co do doboru fragmentów, zważywszy nadmiar rzeczy, reklamujących nasz wysiłek wojenny. Bez żadnego uszczerbku można by ukazać inne cechy życia polskiego, niż ciągłe walki i konspiracje. W zbiorze tym zadebiutował jako tłumacz Ewald Mazurek, oddając język Prusa i Szymańskiego bez zarzutu. Ostatnio przetłumaczył on i wydał Fiedlera „Kanada pachnąca żywicą“ i Prusa „Placówka“. Są to przekłady na wysokim poziomie i przewyższające językiem i stylem A. Loepfego tłumaczenie „Faraona“.

(„P. P.“ nr. 9(15) — Zb. M.).



Stefan Rudniański

Jak opanować uwagę audytorium?

Najważniejszą bodaj z w kich kwalifikacji dobrego prelegenta jest zdolność władania umysłami i sercami słuchaczy. Można sumiennie i drobiazgowo przygotować się do wygłoszenia odczytu, można posiadać całkiem pewne informacje o składzie, poziomie i zainteresowaniach danego audytorium, a mimo to nie trafić w najmniejszej mierze do przekonania słuchaczy, nie wzruszyć ich ani na chwilę — zupełnie tak samo, jak gdyby się mówiło „do lampy“, a nie do żywych ludzi.

Gdy nieświadomy prelegent wchodzi na salę, zaczyna swój odczyt tak, jak sobie z góry ułożył i mówi dalej bez żadnych zmian w pierwotnym planie, bez najbliższych odchyień od nakreślonej drogi. Zajęty całkowicie wątkiem swej myśli, rozwija go systematycznie i metodycznie, przemawiając do całości audytorium, nie indywidualizując słuchaczy, nie wiedząc, co się dzieje na sali i jak reagują na odczyt oddzielne jednostki. A na sali dzieje się wcale niedobrze: rozlegają się coraz głośniejsze szepty, ten i ów wychodzi z sali, a za nim ciągnie drugi, trzeci, czwarty, aż wreszcie zostanie „na placu“ garstka najwytrwalszych, ale i ci okazują pod koniec odczytu coraz widoczniejsze oznaki zniecierpliwienia. Oto odstrasający przykład odczytawcy, pozbawionego najcenniejszego waloru każdego mówcy, mianowicie czucia swego audytorium.

Doświadczony prelegent nie spuszcza nigdy z oka swych słuchaczy, śledząc ich zachowanie z równą niemal

starannością, jak rozwój swej myśli. Nie zbagatelizuje już na wstępie szmeru głośnych uwag, bądź na temat wygłoszenia zewnętrznego własnej osoby, bądź na inne tematy: obwiedzie po kolei badawczym wzrokiem wszystkie grupki rozmawiających, wlewając w każdą wymowne i niedwuznaczne spojrzenie, aż się uciszą i umożliwią mu rozpoczęcie prelekcji. A nie będzie to bynajmniej raz na zawsze ustalona „wertura“ do danego tematu, jeno jeden z obmyślonych starannie zawczasu występów, których powinno się nie raz przygotować kilka na wypadek, o ile by się nie znało dokładnie składu audytorium: przecież początek odczytu mobilizuje i utrwała uwagę słuchaczy, stwarza nastrój, nakreśla perspektywy. Iluż to ludzi sądzi o wartości odczytu na podstawie oceny jego początku!

Nie dość jednak stworzyć nastrój i uruchomić uwagę: należy umieć utrzymać słuchacza w stanie pogotowia intelektualnego również i w dalszym ciągu odczytu. Obowiązkiem prelegenta jest tedy bacznie a nieustannie śledzić wyraz twarzy oraz ogólne zachowanie słuchaczy, a to w celu ewentualnej natychmiastowej przebudowy planu prelekcji w trakcie jej wygłaszania, w celu dokonania w jej konstrukcji skrótów lub uzupełnień, w celu zmiany tonu przemówienia itp. modyfikacji, zależnych od postawy słuchaczy.

Nie znaczy to bynajmniej, że prelegent zależny jest od słuchaczy tak dalece, że ciągną go oni za sobą wszędzie, dokąd tylko zechcą. Skoro tylko

się zważy, że bardzo rzadko się zdarza, aby w przygodnym zespole ludzi każdy z osobna zdawał sobie jasno sprawę z kierunku swych zainteresowań i treści swych postulatów pod adresem prelegenta, dojdzie się łącznie do słusznego wniosku, iż dobry odczyt jest zawsze wypadkową działania dwóch sił, a więc po pierwsze zachowania się audytorium i wpływu jego na prelegenta, po drugie zaś postawy tegoż i jego oddziaływania na audytorium. Nie tylko audytorium wyznacza bieg myśli i uczuć prelegenta, lecz i odwrotnie, wytrawny prelegent wpływa na audytorium, porywa je ze sobą i kieruje, jak batutą, myślami i nawet uczuciami swych słuchaczy.

Wytrzymałość przeciętnego osobnika — a z takich przecież składa się większość audytorium popularnego odczytu — ma jednakowoż określone granice: nie można utrzymać uwagi słuchacza w stanie ciągłego napięcia w ciągu nawet godziny, bez rozładowania na chwilę zgęszczonej atmosfery pogotowia intelektualnego, za pomocą stosowanej dygresji w postaci przytoczenia dowcipnego a nieoczekiwanego przykładu, ciekawego wypadku, potwierdzającego pewne twierdzenie prelegenta lub też anegdoty, wiążącej się z tematem odczytu.

Stosując chwyt tego rodzaju, pamiętać należy zarazem o tym, aby nie przeciągać dygresji ponad stosowną miarę, w przeciwnym bowiem razie grozi łącznie obu stronom — audyto-

rium i prelegentowi — zagubienie nici przewodniej odczytu.

To samo zastrzeżenie dotyczy również odpowiedzi prelegenta na pytania słuchaczy, zadawane w trakcie trwania odczytu: aczkolwiek są one niewątpliwie objawem rozbudzonej aktywności intelektualnej danych osobników, stanowić mogą przecież z drugiej strony pewną dygresję w biegu odczytu. Toteż powinno się odpowiadać nie tylko w najściślejszym związku z myślą podstawową odczytu, tzn. wówczas jedynie, gdy odpowiedź na dane pytanie posuwa naprzód wykład tej myśli.

Doświadczony prelegent wie dobrze o tym, że najumiejętniejsze otwieranie „klap bezpieczeństwa“ podczas odczytu nie zdoła zapobiec nieuchronnemu osłabieniu napięcia uwagi audytorium pod koniec prelekcji. Godzi się więc w tym krytycznym momencie zachęcić słuchaczy do wytrwania, uprzedzając ich, że odczyt dobiega końca, wysłuchanie bowiem zakończenia wymaga szczególnego wysiłku ze strony audytorium, o ile „finał“ prelekcji jest istotnie godnym „uwieńczenia dzieła“ — bądź w kształcie jednego i zwięzłego streszczenia jego zawartości mysłowej, bądź w formie rzeczowego podsumowania wniosków, wynikających z założeń prelegenta, bądź wreszcie w postaci wezwania słuchaczy do aktywności na pewnym polu działania.

(„Przewodnik oświaty dorosłych“).

Broniec

BIBLIOTEKARZ

Litwie przybyło mieszkańców. Miejscowości uzdrowiskowe, mimo późnej pory roku, jak nigdy są przepelnione. Wieczorami do późna płoną ognie, a we dnie ulice są pełne spacerowiczów.

Dla stałego bywalca uzdrowiska Birsztany, położonego nad rzeką Niemnem, te dni październikowe 1939 r. wydają się dziwne, a zarazem i smutne. Las sosnowy na drugim brzegu, który chyba był świadkiem niejednej klęski lub zwycięstwa Polaków i Litwinów, teraz zdawało się lepiej od wszystkich rozumiał tragedię tych spóźnionych kuracjuszy i przemawiał do nas w nocy i we dnie swą ponurością i ciemnią.

Mimo wszelakiego rodzaju kontrastów, uzdrowisko Birsztany żyło. Ubrania grup spacerujących zlewały się z trawnikami w jedną całość. Wszystko przybrało według mody kolor zielony, żołnierski. Mundury, stopnie, odznaczenia: tych, co wyruszyli na front kampanii wrześniowej, jak na przegląd świąteczny, a dla tych, co przeszli już boje — strój szary, polowy. Już nie ma między nimi teraz żadnej różnicy. Nikt nic nie opowiada. Nie ma bohaterów! Nie ma o czym mówić!

Każdy tylko pyta, co dalej? Jak wy dostać się z drutów obozu internowanych?

Oto widzę grupę oficerów z piechoty. Wśród nich kroczy wysoki, szczupły mężczyzna. Twarz więcej do niewiasty podobna. Cera biała. Rysy regularne. Oczy piękne, lecz czemuż tak

smutne? Dobroć jakaś płynęła z tego oblicza. Na nim zimowy żołnierski strój. Na każdym naramienniku po dwie gwiazdki.

Przyjaźnie się witam. O zdrowie, o dom, o myśli pytam. Nie dziwcie się, lubiłem go bardzo. Był przez wiele lat kierownikiem miejskiej biblioteki. Był grzeczny dla wszystkich. Zawsze dobrał odpowiednią książkę. Był cichym mieszkańcem Batorego Grodu.

Wojna! Jako rezerwista poszedł na front. Kazali pod Bielskiem Podlaskim z karabinem francuskim starego typu powstrzymywać czołgi niemieckie. Wykonał zadanie i teraz tutaj przyszedł. W domu pozostawił żonę i dwoje dzieci. Podczas rozmowy, mimo, że usta milczały, w tych smutnych oczach wyczytałem wszystko. Ostatni uścisk dłoni.

Później w ogólnej akcji ruchu podziemnego na Litwie, pamiętam, był notowany, że ukrywa się w Wilnie i czeka na transport przerzutowy do Francji, aby się bić o prawo do spokojnego, cichego życia w gronie najbliższych.

Przeszły lata, procesy i teraz świat szuka zbrodniarzy Katynia.

Któregoś dnia wziąłem do ręki książkę „Amtliches Material zum Massenmord von Katyn — Berlin 1943“ i tak jak dobry gospodarz na podstawie rzeczowości wydatków analizuje i wyciąga wnioski, tak samo zacząłem analizować i kroczyć od nazwiska do nazwiska tych osób, które znałem, i nad każdym się zastanowiłem: za jakie przekroczenie względem ludzkości i w ja-

kich okolicznościach mógł być ten człowiek przez nieznaną rękę wciągnięty w ten okropny spis.

Zrozumiałem:

„Nr. 582, Jankowski Tadeusz, kierownik miejskiej biblioteki w Grodnie...“ Ja przez wiele lat tego człowieka obserwowałem, ja prawie jego myśli znałem.

Ja się pytam wszystkich: kto się sprawą Katynia interesuje?!

Za jakie przewinienie został zastrzeżony cichy, spokojny, kochający żonę i dzieci człowiek, którego pracą było opiekowanie się miejską biblioteką? Książki podklejał, segregował i ludziom wymieniał.

Kto go wciągnął na listę? Kto go wywiózł z Wilna? W jaki sposób znalazł się w szeregu leżących w dole?

Las sosnowy nad Niemnem, jak przed

laty, ciemny. Drzewa ze sobą są w pogwarze. Lasek z Katynia dawno już przekazał smutną wieść lasom z nad niemeńskich brzegów. W rocznicę należało by pójść w lasy, lecz któż z nas starych bojowników może usiąść teraz nad Niemnem i słuchać rozhoworu sosnowych drzew? Gdzie są: Czarny, Biały Szczur, Jon, Mar...

Rozumiem wszystko! Nie piszcie! Wszystko jest jasne.

Znajdźcie Johna Aleksandra, drużynowego 6. męskiej Drużyny Harcerzy im. H. Dąbrowskiego w Grodnie, a on wam wszystko wyjaśni.

Tak. Trzeba cierpliwie czekać. Bibliotekarza zastąpcie, a dzieciom dajcie Konrada Wallenroda. Niech się uczą bodaj na pamięć.

Kolego, nr 582! Teraz ja mam smutne oczy.

Polska Tradycja Morska

Prastare podanie ludowe głosi, iż wnuk legendarnego Leszka — a działał się to ponoć w VIII stuleciu — potykał się zwycięsko na Bałtyku z Normanami i rozbiwszy pewnego razu flotyllę walecznych Wikingów założył przy ujściu Wisły warowny gród. W ten sposób powstał według podania Gdańsk. W takie poetyczne kształty fantazja ludu przyoblekła dawno minioną rzeczywistość, gdy szczepy słowiańskie, wchodzące w skład formującego się państwa Piastów, walczyły o władanie na morzu i organizowały dalekie wyprawy morskie.

Pomorze i to bliższe i to dalsze odrzańskie wiązało się ściśle z dziejami Polski od jej zarania.

Morze bałtyckie jest już ściśle ze-

spolone z ideą państwową Piastów. Ścierając się z tym potężnym żywiołem Chrobry stawia tamę normandzkiej ekspansji i ugruntowuje swe władztwo nad wybrzeżem bałtyckim. Pomorze staje się częścią składową Polski, jak stają się nimi i inne ziemie piastowskie.

Wagę, jaką pierwsi Piastowie przywiązywali do morza, w pełni unaocznia testament Krzywoustego, który nierozdzielnie łączy Pomorze — podczas gdy kraj cały dzieli — z dzielnicą krakowską, a więc senioralną.

Polska dzielnicowa zagubiła idee przewodnie Chrobrego, utrzymała się jednak łączność Pomorza z Polską nawet i w okresie budowy przez Krzyżaków państwa na ziemiach polskich.

I warto przypomnieć, iż odrodzenie idei Chrobrego, idei skonsolidowanej, zjednoczonej Polski, wychodzi od księcia pomorskiego, Przemysława II.

Tragedia losu chciała, by właśnie realizator tej idei, Władysław Łokietek, utracił Pomorze początkowo na rzecz Brandenburczyków, następnie zaś Zakonu Krzyżackiego. To pierwsze potężne starcie z Krzyżakami, starcie, które groźnie ostrzegało przed nieuchronnym niebezpieczeństwem ze strony tego Zakonu było bitwą o ziemie pomorskie i morze Bałtyckie.

Rzecz, którą należy szczególnie podkreślić, stanowi fakt, iż wiernym sojusznikiem w tych zapasach Polski jest samo Pomorze, zwłaszcza jego ludność mieszczańska. Związek miast pomorskich i pruskich, tzw. związek jaszczurczy, stanowi ostoję pomorskich poczynań Kazimierza Jagiellończyka. Podczas trzynastoletniej wojny z Krzyżakami w chwilach ciężkich dla Rzeczypospolitej, gdy nieraz załamywało się szlacheckie pospolite ruszenie i zatracało wolę walki, miasta pomorskie nie zagubiły swego ducha. W tym okresie flota Gdańska, złożona z trzydziestu paru jednostek, skutecznie wspomagała wojsko Kazimierza, walcząc o swoją wolność, którą widziała w złączeniu z Polską. Ta flota gdańska przecinała dowóz zaopatrzenia i posiłków dla Zakonu, ona w dużej mierze zarówno jak postawa ludności pomorskiej, zdecydowała o zwycięstwie i pokoju toruńskim 1466 r., przywracającym ziemie pomorskie Polsce.

Sto lat po odzyskaniu Pomorza Polska opanowuje Inflanty. Włączenie Inflant w roku 1561 było wynikiem dalszych dążeń Rzeczypospolitej do mocnego usadowienia się na Bałtyku.

Wcielenie Inflant pociągnęło za sobą wojnę z Moskwą i Szwecją.

Jednocześnie z wysunięciem sprawy inflanckiej rodzi się w Polsce myśl stworzenia floty wojennej. Myśl ta nabiera kształtu realnego wobec zapasów wojennych ze Szwecją i Moskwą. Urzeczywistnienie projektów morskich nie było łatwe. Zygmunt August stanął przed koniecznością rozwiązania sprawy floty wojennej najmniejszymi kosztami. Skorzystał z projektu Dunin-Wąsowicza zorganizowania tzw. floty kaperskiej.

29. kwietnia 1561 r. Zygmunt August wydaje patent kaperski Schaerpingowi (Szyrpinkowi) i upoważnia go do zorganizowania flotylli statków kaperskich. Wkrótce flotylla kaperska, znajdująca się pod opieką monarchy polskiego, liczy 15 statków, lekkich brygów z 40-60 ludzi załogi.

Rola kaprów polegała na akcji podobnej korsarskiej, skierowanej przeciw nieprzyjaciółom Polski. Podstawą operacyjną tej floty był Gdańsk. Kaprzy oddali duże usługi patrolując na Bałtyku i pustosząc brzegi szwedzkie aż po Sztokholm. Spowodowali jednak duże niezadowolenie Gdańska, ponieważ naruszali jego przywileje i jego handel. Ściągnęli na siebie wrogą akcję Danii, kraju dotychczas sprzymierzonego z Polską. Z powodu rosnącej niechęci Gdańszczan przeniesiono kaprów do nieobwarowanego Pucka, co podcięło ich znaczenie i działalność.

Flotylla ta nie zadawała Zygmunta Augusta, który chciał dać Rzeczypospolitej prawdziwą flotę wojenną. W r. 1568 ustanawia Komisję Morską, która ma się zająć budową okrętów wojennych.

Ostatnie lata Zygmunta Augusta przynoszą mu niepowodzenia w dzie-

dzinie morskiej. Wprawdzie udało się królowi narzucić społeczeństwu przeświadczenie o konieczności „statecznej wodnej armady”. Sprawę tę ostatecznie miał rozstrzygnąć sejm z 1572 r., jednak śmierć króla przecięła zapoczątkowane dzieło. Flota kaperska rozproszyła się, komisja morska zamarła.

Choć wraz ze śmiercią Zygmunta Augusta przestaje istnieć polska marynarka wojenna, myśl o niej wciąż kielkuje wśród społeczeństwa i mężów stanu.

Stefan Batory panowanie swe rozpoczął musi od wojny z Gdańskiem, który podniósł zarzewie buntu. W tej wojnie posługuje się naprędce zorganizowaną przez Piotra Kłoczewskiego flotą wojenną. Składa się ona z sześciu okrętów i nosi charakter kaperski. Po uśmierzeniu buntu gdańskiego Batory, zaprzętnięty wojnami moskiewskimi, nie podejmuje już sprawy „armady wodnej”.

Sprawa polskiej floty wojennej na nowo występuje z mocą podczas pierwszych kampanij szwedzkich Zygmunta III. Flota szwedzka blokuje porty inflanckie i jednocześnie umożliwia szwedzkie desanty na brzegach Polski. W r. 1609 Karol Chodkiewicz doraznie organizuje z zagarniętych w Parnawie statków małą flotyllę wojenną, która oddaje mu duże usługi, a nawet odnosi pod Salis zwycięstwo nad częścią eskadry szwedzkiej. Ta kampania Chodkiewicza raz jeszcze wykazuje, jaką rolę odgrywa posiadanie floty wojennej. Rozjem jednak ze Szwedami kładzie kres tej sprawie.

W 1617 r. król szwedzki Gustaw Adolf zdobywa Rygę, posuwa się w głąb Kurlandii i dąży ku Prusom królewskim. Hetman Koniecpolski organizuje obronę i energicznie domaga się od Zygmunta III podjęcia starań o stworzenie marynarki wojennej. Pod wpływem grożącego niebezpieczeństwa i nalegań Koniecpolskiego Zygmunt III przystępuje do stanowczego rozwiązania sprawy floty.

W r. 1622 powstaje polska flota królewska. Bazę jej stanowi Gdańsk. W Pucku stworzono warsztaty okrętowe. Sprawę budowy okrętów powierzono kapitanowi angielskiemu, Szkotowi, Jakubowi Murrayowi, który energicznie i zapałem zabrał się do dzieła. W 1626 król utworzył w Gdańsku „Komisję okrętów królewskich, której zadaniem był nadzór nad marynarką wojenną i kierowanie jej rozbudową.

W tym właśnie okresie Szwedzi wysadzili w Pilawie wielki desant i zajęli bez oporu Prusy Książęce. Jednocześnie flota szwedzka zablokowała port gdański. Wzrost floty polskiej zmienił sytuację. Już zimą 1627 r. polska flota wojenna patroluje brzegi Bałtyku i krąży po całym morzu. Polska bandera państwowa z czerwonym ośmiopłetwym orłem i bandera królewska w polu czerwonym (w szesnastym wieku niebieskim), „pogoń biała” (obnażona ręka zwrócona w prawo i trzymająca wzniesiony ku górze miecz z czarną rękojeścią) dumnie powiewają na Bałtyku.

Ta flota w kwietniu 1627 r. walnie przyczynia się do odebrania zajętego przez Szwedów Pucka. W maju 1627 r. flota szwedzka rozpoczyna ponow-

nie blokadę Gdańska. Okręty polskie schroniły się w porcie gdańskim, władztwo na Bałtyku znowu przeszło w ręce szwedzkie.

Listopad 1627 r. zmienia sytuację w wyniku bitwy morskiej pod Oliwą.

Starcie to wykazało dużą sprawność polskiej floty wojennej. Zdecydowało ono ostatecznie o przerwaniu blokady przez Szwedów, którzy zaangażowani byli jednocześnie w wojnie z cesarzem niemieckim.

Kontrola polskiej floty wojennej rozciągała się w danym momencie od Szczecina do Libawy.

Objęcie tronu przez Władysława IV zwiastowało nową epokę w dziedzinie polskich zbrojeń morskich. Rządy objął monarcha o rozległych horyzontach myślowych, wielki wódz i polityk, wyczuwający polską rację stanu, dążący do urzeczywistnienia ideału potężnej Rzeczypospolitej. Wraz z Koniecpolskim i Arciszewskim Władysławem z energią przystąpił do dzieła budowy floty wojennej w oparciu o umocnione wybrzeże pomorskie. Odżyła królewska komisja okrętów i podjęła swe prace. Jednocześnie rozbudowano port wojenny w Pucku z arsenałem, skonstruowano na Helu port Władysławowo i umocniono warownię Kazimierzowo.

Stało również w szybkim czasie 12 okrętów wojennych. Projektowano dalszą szybką budowę statków. Przygotowano się również do stworzenia specjalnej flotylli „podjazdowej” i w tym celu zwerbowano już około 2.000 Kozaków pod dowództwem płk. Wąłki oraz instalowano w Królewcu „czajki” — łodzie kozackie.

Nie posiadając środków na utrzymanie swej floty, król próbował je uzyskać przez pobieranie cła morskiego od towarów wwożonych do polskich portów. Natrafił jednak na zdecydowany opór i wicherzenia Gdańska, rfa intrygi Danii i nawet sprzeciw sejmowi. Musiał zrezygnować ze swych wielkich planów. Flota polska powoli znowu zanika.

Następca Władysława, Jan Kazimierz mimo najszczerzych chęci nie mógł spełnić warunków pacta conventa, mówiących o flocie wojennej. Ponościł skutki polityki Zygmunta III, konsekwencje odsunięte na krótki czas przez genialnego Władysława.

Następcy Jana Kazimierza sprawą morza nie zajmowali się, choć zdawało się, iż miłość Sobieskiego do Bałtyku doprowadzi go do jakichś śmielszych projektów w tej dziedzinie.

Sprawę polskiej marynarki wojennej po dłuższej przerwie wysuwa dopiero powstanie styczniowe. Powstańcy rozumieli doniosłość marynarki wojennej, jako demonstracji, która by unaoczniała prawa Polski do morza. Projekt stworzenia floty powstańczej dyskutowany był nawet z brytyjskim ministrem spraw zagranicznych, Russelem, który nieoficjalnie doradzał przedstawicielowi Rządu Narodowego zmontowanie choćby jednego statku wojennego, gdyż pojawienie się na morzu polskiej bandery umocniłoby stanowisko powstańców w świecie międzynarodowym, a przede wszystkim w Anglii.

Powstańcy zabrali się do dzieła, zakupili w Anglii dwa statki handlowe i przerobili je na wojenne. Jeden z tych statków, nazwany „Kościuszko”, pod dowództwem kpt. Zbyszewskiego

miał wypłynąć na Morze Czarne. Zadaniami jego miało być zmanifestowanie prawa Polski do morza, z drugiej strony zaś niszczenie statków handlowych rosyjskich. W połowie lutego 1864 r., za rządów Traugutta, na wody morskie wypłynął z Newcastle polski statek wojenny „Kościuszko”. Zeglował po morzu Śródziemnym w kierunku Morza Czarnego. Został jednak w Maladze zaarrestowany przez władze hiszpańskie.

Tak w dobie powstania styczniowego powiewała na morzu polska bandera, niewidziana od śmierci Władysława IV

i choć powiewała krótko, tym niemniej świadczyła jasno o zrozumieniu przez polskie ruchy niepodległościowe doniosłości i znaczenia morza w przyszłej niepodległej Polsce.

Polska odrodzona zrealizowała idee Władysława IV i Romualda Traugutta. Wraz z odrodzeniem Polski zapoczątkowano prace nad stworzeniem marynarki wojennej, początkowo rzecznej. Prace te posuwały się w nieustającym tempie i rezultatem ich była polska flota wojenna, która okryła się chwałą w zapasach wojennych z Niemcami w 1939 i 1940 r.

U W A G A!

Druhny i Druhowie!

Nadchodzi lato w promienistej koronie słonecznych promieni, a wraz z nim, naturalnie, najrozmaitsze obozy — kursy — wycieczki — zloty i tym podobne „wykapki”.

W te cudne dni lipca i sierpnia idziecie na pola i lasy, na łąki, w góry i nad morze napawać się pięknem przyrody, zielenią traw, barwami kwiatów, odetchnąć świeżym powietrzem, idziecie rozśpiewani rytmem marszu harcerskiego, idziecie z piosenką i śmiechem. W te dni na samą myśl o atramencie i piórze wzdyga się każda harcerska dusza i nikt nie myśli zajmować się „nudną pisaniną” (za wyjątkiem nieszczęsnych redaktorów). Niech jednak żadna z harcerskich dusz nie zapomina, że ma mieć oczy i uszy otwarte, ołówek i notes w kieszeni, a aparaty fotograficzne niechaj trzaskają z szybkością karabinu maszynowego: chwytajcie tematy, polujcie na odpowiednie okazje do „byczych” zdjęć, róbcie szkice, rzucajcie myśli na papier — a kraina łowów podczas lata jest szeroko otwarta — istna kopalnia możliwości stoi przed Wami otworem.

Wielki Konkurs Referatu Prasowego już blisko!

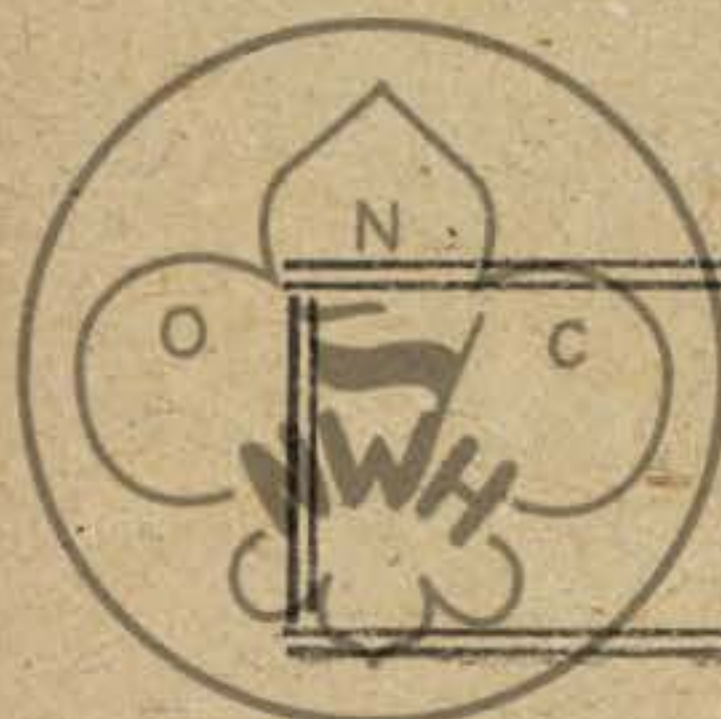
Referat Prasowy Komendy Głównej.

NA FUNDUSZ PRASOWY „N. Ż.”

złożyli:

Dh Z. Bernaś (Paderborn) 50 marek

Dh J. K. Trafas (Fulda) 100 „



Wydawca: KRĄG STARSZOHARCERSKI
im. Andrzeja Malkowskiego w Bad Münden (Deister)
Ziegenbuche 6